

IWAN FRANKO

Skrzyżowane drogi



Ukradzione szczęście



IWAN FRANKO

Skrzyżowane drogi

≈ ⊗ ≈

Ukradzione szczęście

Przekład: Przemysław Lis Markiewicz

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2021

Iwan Franko
„Skrzyżowane Drogi. Ukradzione szczęście”

Copyright © by **Przemysław Lis-Markiewicz**, 2021
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Jankowiak**
Korekta: **Przemysław Lis-Markiewicz**
Projekt okładki: **Ewa Burska**
Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-849-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SKRZYŻOWANE DROGI

SŁOWO OD TŁUMACZA

Akcja powieści rozgrywa się około 1890 roku, jak podpowiada sam narrator, ponad dwadzieścia lat po uchwaleniu konstytucji Austro-Węgier w 1867 roku. Nie ma już pańszczyzny, a poddani cesarza Franciszka Józefa mogą, przynajmniej w teorii, korzystać z licznych swobód obywatelskich. Na przeszkodzie stoją bowiem, wychowani w innym duchu, starzy urzędnicy (głównie Polacy) i niska świadomość ruskiego (ukraińskiego) chłopstwa.

Wszystkie wydarzenia powieści rozgrywają się w Galicji, którą powinniśmy nazywać Halicczyną. Do powiatowego miasteczka przybywa wykonywać swoją praktykę adwokacką Jewhenij Rafałowycz, wykształcony we Lwowie Ukrainiec. Autor powieści nigdy nie zdradził, czy wspomniane powiatowe miasteczko było prawdziwe, czy też wymyślone na potrzeby utworu. Aby odgadnąć, gdzie toczyły się losy głównych postaci, należy przeprowadzić badanie, łącząc różne wątki. Miasto powiatowe, na końcu dziewiętnastego wieku, miało mieć połączenie kolejowe ze Lwowem, jednak odległość do Lwowa winna umożliwiać wycieczkę na jeden dzień. W mieście miał działać sąd obwodowy i otaczać je powinna niemała rzeka. I nie mógł to być Tarnopol, Przemyśl czy Stanisławów, ponieważ one wymienione są osobno. Z miasta tego miała w stronę

Lwowa prowadzić linia kolejowa, aczkolwiek miała się ona prawie od razu za nim rozgałęziać. W centrum miasta zaś miał być ratusz z wieżą zegarową. Wszystkie te wymogi spełnia jedynie Sambor. I niewykluczone, że tam umieścił Franko fabułę powieści.

Pierwowzorem głównego bohatera – Jewhenija Rafałowycza – jest stryjski adwokat Jewhen Ołesnyc'kyj – ukraiński działacz społeczny i polityczny, prawnik, ekonomista, publicysta, tłumacz. Halicka, ukraińska inteligencja nie czuła się w Galicji jak u siebie, choć to właśnie Haliczczyzna jest prastarą kolebką ukraińskiej państwowości. Wskutek licznych dziejowych zawieruch, pozostawało im dzielić swoją ziemię z Polakami, Żydami i Austriakami. I mimo, że Ukraińcy (Rusini) stanowili liczbowo większość na swoich terenach, to jednak administracja i sądownictwo zdominowane były przez osoby narodowości polskiej, handel, usługi oraz drobna wytwórczość – przez Żydów. Ukraińcom najczęściej pozostawała rola. I bieda.

Poprawa świadomości chłopów, zarówno społecznej, jak i prawnej czy politycznej, była przedmiotem zainteresowania duchownych ukraińskich oraz ukraińskiej inteligencji. Kierowały nimi nie tylko pobudki narodowe. Wtenczas w Europie, też w Polsce, modna była chłopomania. Wystarczy wspomnieć krakowskiego poetę i dramatopisarza Lucjana Rydla, który ożenił się z córką chłopca z Bronowic a ich przyjęcie ślubne natchnęło Stanisława Wyspiańskiego (również ożenionego z chłopką)

do stworzenia „Wesela” – arcydzieła polskiej literatury narodowej.

Walka o lepszy byt Ukraińców, poprawa ich świadomości narodowej, prawnej i społecznej, chyląca się ku upadkowi, po zniesieniu pańszczyzny, pozycja spolszczonej szlachty i ziemiaństwa, rozwój usług i przemysłu, zdominowane głównie przez ludność żydowską – wszystko to posłużyło Iwanowi France za tło dla romantycznej historii miłosnej. Ukrainiec, student prawa we Lwowie – Jewhenij zakochuje się w młodej Polce, mieszkającej na stacji u ciotki – Reginie Twardowskiej, osieroconej córce ubogiej nauczycielki. Piękna młodzieńcza miłość nie znajduje jednak szczęśliwego zwieńczenia. Ulegając naciskom ciotki, Regina wychodzi za mąż za starszego od niej Stalskiego, tyrana i sadystę, który przemieni jej życie w piekło. Jeszcze przed obroną doktoratu Jewhenija ukochana z mężem wyjeżdża ze Lwowa. Po dziesięciu latach, wciąż z rozbitym sercem, nadal wolnego stanu, Jewhenij otwiera kancelarię w mieście, w którym od dawna mieszka jego ukochana z czasów studiów we Lwowie wraz z mężem – starszym kolegą ze szkoły. Jewhenij jednak o tym nie wie. Ich drogi znów się krzyżują.

Przemysław Lis Markiewicz

I

A pan mecenas! Gratuluję, gratuluję! Nasze miasto może się, dalibóg, cieszyć, że trafił nam się taki błyskotliwy obrońca. O, takiej obrony w naszym sądzie dawno nie słyszano!

To było na ulicy, przed budynkiem sądu, w jednym z większych miast prowincjonalnych^[1]. Właśnie wybiła pierwsza, zakończyła się rozprawa karna i z sądu wychodzili tłumnie świadkowie – chłopci, Żydzi, jacyś rzemieślnicy, strażnicy. Adwokat dr^[2] Jewhenij^[3] Rafałowycz^[4] również wyszedł, wyrwawszy się spośród swoich klientów, całej kupy chłopów, których oskarżono o bunt a teraz, dzięki jego błyskotliwej i wprawnej obronie, nie tylko zostali uniewinnieni, ale również mieli nadzieję, że uda im się, w procesie cywilnym, odzyskać to fatalne pastwisko, od którego wszczął się spór. Ze łzami w oczach dziękowali Rafałowyczowi, ten jednak zbył ich tylko krótko, pouczył, co mają robić dalej i opuścił ciemnawy korytarz sądowy, gdzie było, co prawda, chłodniej niż w sali rozpraw, jednakże unosił się tam kurz od dawno niezamiatanej polepy^[5], było brudno, panował ścisk. Wyszedł na ulicę, głęboko odetchnął nagrzanym, choć trochę świeższym powietrzem i, nie zatrzymując się, poszedł przed siebie, bez wyraźnego celu, byle tylko dalej od tej ciżby ludzkiej, gdzie – on to wiedział

i słyszał – wszyscy przykuwali do niego wzrok i o nim szeptali. Miał za sobą pierwszą mowę obrończą w tym mieście, do jakiego dopiero co się przeniósł. Od tej właśnie obrony miała zależeć jego dalsza pomyślność w nowym środowisku i czuł, że dzisiejsza mowa udała mu się nader dobrze. Był wielce zadowolony, ale, mając w pamięci starą maksymę „*aequam servare mentem*”^[6], starał się zachować wygląd osoby ni to obojętnej, ni to spokojnej, ni to czymś pochłoniętej i podążał dalej, nie oglądając się za siebie, nie spiesząc się, i nie zwracając na nic uwagi.

Okrzyk, jaki dotarł do niego z drugiego końca ulicy, wytrącił go z tej równowagi. Obejrzał się i spostrzegł, że w poprzek ulicy, uchylając kapelusza i wesoło coś mówiąc, zbliżał się do niego średniego wzrostu, podstarzały jegomość z krótko przystrzyżonymi, rzadkimi włosami, rudymi, siwiejącymi wąsami, odziany w czarny, wytarty surdut. Dr Rafałowycz miał bystry wzrok i dobrą pamięć, ale nie mógł sobie przypomnieć, aby gdziekolwiek, czy kiedykolwiek spotkał owego pana. Osobnik zapewne dostrzegł niepamięć Jewhenija i przemówił:

– Cóż, nie poznaje mnie pan mecenas? – mówił wesoło i nader głośno, jak gdyby pragnął, aby i przechodnie słyszeli jego słowa. – A nie dziwota, nie dziwota! Tyle to lat minęło od naszego ostatniego spotkania. I co to było za spotkanie! Ano proszę mi się dobrze przyjrzyć, proszę sobie przypomnieć, ha ha ha!

Stał na chodniku, uśmiechnięty, zgrzany, z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, z wyciągniętymi do mecenas

obiema rękami, jak gdyby czekał tylko na znak, aby rzucić się w jego objęcia.

Mecenas milczał dłuższą chwilę i, założywszy binokle na nos, przypatrywał się mężczyźnie, uśmiechał się, pochrząkiwał a następnie powiedział:

– Pan wybaczy, nie mogę sobie przypomnieć.

– Walerian Stalski! – krzyknął tryumfalnie jegomość i ponownie wykonał ruch rękami, jakby chciał chwycić w objęcia doktora Rafałowycza. Ten jednak wciąż stał nieruchomo, poważny na twarzy, która wyrażała napięcie i nadaremny wysiłek odnalezienia przechodnia w zakamarkach pamięci.

– Stalski ... Stalski – powtarzał mechanicznie. – Pan wybaczy... będzie pan uprzejmy pomóc mojej pamięci! Bóg jeden wie, jak mi wstyd, ale w żaden sposób nie mogę ...

Wtem uderzył się dłonią w czoło.

– Ach! Ależ ze mnie zapominałski! Pan Stalski, mój korepetytor ze stancji z trzeciej ... nie, pardon, z drugiej klasy gimnazjum!

– Tak, tak, tak! – przytakiwał Stalski, kiwając głową i gestykulując.

– Widać, że pan mecenas nie zapomniał. A jakże, a jakże, korepetytor ze stancji ... niepoprawne łacińskie *verba*^[Z], pamięta pan?

– Ha, ha, ha! Równoważnik zdania okolicznikowego – *ablativus absolutus*! No i jak się pan miewa, panie Stalski?

Mecenas chwycił wyciągnięte do niego od dawna obie ręce Stalskiego i, uściskawszy je w swoich pulchnych dłoniach, wypuścił. Stalski, uradowany, mówiąc z ferworem, szedł obok niego.

– Dziękuję, dziękuję! Jakoś żyję, pomału.

– Ma pan tu jaką posadę?

– Oczywiście, rozumie się! W sądzie. Pan mecenas jeszcze tu nikogo nie zna. Jestem urzędnikiem administracji, mam pod sobą registraturę^[8]. O, już piętnaście lat jestem na służbie!

– Ależ pan, zdaje się, był w wojsku, tak?

– Właśnie wtedy, gdym pana mecenasa uczył, to mnie z szóstej klasy zabrali do wojska. Ale głupi byłem. Trzeba się było poważać, zostać oficerem. No, a ja na początku trochę byłem zbuntowany ... A wie pan, w wojsku musi być posłuszeństwo. W taki sposób nie awansowałem nigdy ze stopnia podoficera. Odsłużyłem dziesięć lat, opuściłem wojsko i dostałem posadę kancelisty^[8a] przy sądzie. Po pięciu latach człowiek awansował. I oto cała moja kariera.

Szli długą, prostą drogą, wiodącą do dworca kolejowego. Lipcowe słońce stało nad samymi ich głowami i niemiłosiernie sypało żarem a wzdłuż ulicy były same mury i ściany, nigdzie ani skweru, ani drzewa. Panował nieznośny zaduch. Mecenas zdjął z głowy kapelusz i, niczym wachlarzem, chłodził nim spoconą twarz, otarłszy uprzednio chustką kroplisty pot z czoła.

– Ależ praży! – rzekł.

– Pan mecenas pewno idzie na dworzec? – zapytał Stalski.

– Nie

– A czemuż to pan mecenas idzie tę ulicą? Ma pan tu do załatwienia jaki interes?

– Broń Boże! Właściwie to chciałem iść na obiad.

– Na obiad? Tu się pan mecenas u kogoś stołuje?

– Chcę poszukać jakiej restauracji. Wczoraj i przedwczoraj, kiedy była rozprawa, nie miałem czasu się rozejrzeć i jadłem obiad w hotelu.

– A, to pan mecenas w hotelu mieszkał?

– „Pod Czarnym Orłem”. Wie pan, jestem tu obcy. Mam kilku znajomych oficjalistów^[9] i profesorów gimnazjum, ale wszyscy wyjechali na urlopy, są wakacje, porozjeżdżali się. Zamieszkałem więc w hotelu i tam przebywam, zanim znajdę sobie mieszkanie. Jednak jedzenie tam mi nie smakuje.

– No, pewno! Proszę, ja panu mecenasowi pokażę bardzo dobrą restaurację. Proszę tędy!

I Stalski skręcił w boczną uliczkę i szedł obok Rafałowicza, nie przestając mówić.

– Ach, tak! To pan mecenas teraz w hotelu! Jeszcze pan nie ma mieszkania. No, w takim razie, mam nadzieję, że nie odrzuci pan mojej usługi. Pozwoli pan, że mu pomogę nająć mieszkanie. Mnie tu wszyscy znają!

– Ale owszem, panie Stalski. Będę panu bardzo wdzięczny. Tym bardziej, że mam jeszcze dużo do pisania,

nie mam czasu, aby biegać po mieście i szukać dachu nad głową.

– O, ja panu jako żywo znajdę! Będzie pan zadowolony. A gdzie pana rodzina? Również w hotelu?

– Rodzina? Nie mam żadnej rodziny. Przyjechałem tu całkiem sam.

– Jak to? To pan mecenas nie jest żonaty?

– Nie, proszę pana.

– A, tak! Kawalerski żywot! No, tak, to co innego, tak się mówi. Ale oto właśnie już przyszliśmy. Woli pan jeść obiad we wspólnym pokoju stołowym czy osobno?

– Obojętnie – odparł adwokat. – Chyba, że byłby pan tak dobry i zechciał ze mną spożyć posiłek, wówczas moglibyśmy zamówić oddzielny pokój. – Ja tak się cieszę, że spotkałem pana mecenasa ...

– No, jeśli tak, to dobrze, obiadujmy razem! Proszę, aby pan zamówił pokój! – powiedział mecenas i obaj weszli do lokalu.

II

W czasie, gdy Stalski biegał i o czymś rozprawiał z kelnerem, następnie ze starszym kelnerem, wreszcie z samym szefem restauracji, dr Rafałowycz stał na wąziutkiej werandzie, oddzielonej od ulicy żelaznymi sztachetami i obstawionej wielkimi oleandrami w drewnianych dzieżach^[10]. Na werandzie stało kilka drewnianych stolików, okrągłych i nakrytych ceratą, z daleka mogły czynić wrażenie marmurowych. Weranda zwrócona była ku południowi, piekące słońce powodowało, że nie było przy stolikach nikogo, również z wnętrza lokalu nie dobiegał gwar, jaki mógłby świadczyć o wielkiej liczbie gości. W mieście szło wszystko jeszcze patriarchalnym trybem; największa grupa ludzi z tych, którzy mogli sobie pozwolić na porządny obiad, stołowała się w domach, z rodzinami. W dodatku było lato, pora wczasów; zamożniejsi, którzy bywali tu stałymi gośćmi, powyjeżdżali na wieś, nad wodę lub w góry i w restauracji było zgoła pusto.

Jednakże doktora Rafałowycza to nie zajmowało. Przechadzając się po werandzie, w czasie, gdy tam dla niego sposobiono osobny pokój a Stalski po raz trzeci opowiadał, jaki to nadzwyczajny gość zawitał do lokalu i jak bliskim jest on jego znajomym, mecenas usiłował wywołać

w pamięci obraz swojego byłego korepetytora ze stacji. Jego zaiste nadzwyczajna pamięć pomogła mu po kilku minutach wytężonego poszukiwania odnaleźć jego imię, rozpoznać fizjonomię Stalskiego, chociaż od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, upłynęło ponad ćwierć wieku. Ale Rafałowycz odczuwał, że po tym pierwszym obrazie, który udało się wywołać w pamięci, powstaje jakieś niejasne, bolesne, nieprzyjemne doznanie i tylko nieprzerwany potok słów Stalskiego nie daje wspomnieniom wydobyć się na powierzchnię i w pełni uprzytomnić Rafałowyczowi, kim był spotkany po latach jegomość. Jednakże teraz, kiedy Stalski oddalił się na chwilę, Rafałowicz jeszcze raz wytężył pamięć i począł dawne wspomnienia z wolna nanizać na nić uświadomienia.

Ach, tak! Stalski był złym opiekunem. Rafałowycz, mały i chuderlawy chłopiec, bardzo się bał tego wąsatego i już całkiem dorosłego wyrostka. I miał powody, aby się go obawiać. Stalski, wiedząc, że chłopiec jest sierotą, pozostającym pod opieką jedynie wiejskiego duchownego, trzymał go krótko. Stalski go nie uczył, a bił, szturchał i karał wszelkimi sposobami. Był brutalny, uprzejmie nigdy się do niego nie zwracał, a jeśli już, to zawsze albo gniewnie, albo kpiąco. Rafałowycz nawet i teraz aż wzdrygnął się jak od nagłego podmuchu lodowatego wiatru, kiedy przypomniawszy sobie ten stan wiecznego lęku, smutku i ośpienia, w jakim pozostawała jego dziecięca dusza te całe ówczesne półtora roku, gdy Stalski był jego korepetytorem. Ożyła w pamięci ta dzika, niepoahamowana

radość, z jaką powitał wiadomość o tym, że jego opiekuna wzięto do wojska i, że on już więcej nie będzie jego podopiecznym.

I jeszcze jedno przypomniało się doktorowi Rafałowyczowi, było to zdarzenie, wprost niepowiązane z jego nauką szkolną, ale oddawało ono uosobienie Stalskiego. Zajście to najsilniej wbiło się w dziecięcą pamięć Rafałowicza, lata całe dręczyło go, męczyło i bolało, niczym cień wbity w żywe ciało. A było to tak. Stalski mieszkał w jednym pokoju z małym Rafałowiczem. Duchowny, który się nim opiekował, przywoził mu ze wsi wiktuały i razu pewnego, przed świętami, przywiózł dobry kawał kiełbasy również i Stalskiemu. Ów podzielił kiełbasę na równe porcje tak, aby wystarczyło jej na dwa tygodnie. Bojąc się, aby kto jej nie ukradł – na stacji zamieszkiwało jeszcze kilku gimnazjalistów – schował ją w znanym tylko sobie schowku. Skrytkę obmyślił bardzo rozumnie, żaden z uczniów jej nie odnalazł. Przez kilka dni wszystko było dobrze, aż razu pewnego Stalski wpadł do pokoju cały czerwony i wściekły i rzucił się na pierwszego lepszego chłopca, jaki nawinął mu się pod rękę:

– Gdzie moja kiełbasa?

– A ja to niby dozorca twojej kiełbasy? – odpowiedział on, częściowo ze strachem, częściowo śmiejąc się.

– Ty na pewno wiesz, bo się śmiesz! – krzyczał Stalski, wpadając w coraz większą wściekłość. Szczęście, że uczeń, do którego przyczepił się Stalski, był z tej samej, co on, klasy i, choć był młodszy, to jednak silny i odważny. Na

mniejszego chłopca Stalski od razu pewno rzuciłby się z pięściami, na tego nie odważył się.

– Śmieję się, bo mi się chce śmiać – odpowiedział chłopiec.

– A niby dlaczego?

– A dlatego, że chowasz się z tą swoją śmierdzącą kiełbasą tak, jakbyśmy tu wszyscy tylko na nią czyhali a jednak mimo wszystko trafił ci się jakiś złodziej.

– A może kot ją wywąchał? – dorzucił, niby od niechcienia, jeszcze inny uczeń, który siedział przy stole i odrabiał lekcje.

Stalski zerwał się z miejsca na równe nogi. Rzeczywiście! O tym nie pomyślał! To musiał być kot! Bo jakby to był człowiek, to by wziął całą kiełbasę a to coś rozerwało papier, jakim kiełbasa była owinięta i wyciągnęło tylko jeden kawałek. Stalski uczynił postanowienie, że wytropi i schwyta złodzieja. Pół dnia chodził głęboko zamyślony, roztrzásając, jak to uczynić. Wreszcie opracował zmyślne wnyki, przysposobił je w swojej kryjówce i późno w nocy położył się spać. Gdzieś koło północy wszystkich w domu obudziło przeraźliwe miauczenie dochodzące ze strychu. Stalski zerwał się i wyskoczył z łóżka tak gwałtownie, jak gdyby w ogóle nie spał i tylko czekał na tę chwilę.

– Aha! Złapałem złodzieja! Mamy go! – szeptał, zacierając ręce. Zapalił świecę, wstawił ją do lichtarza a następnie, wzięwszy worek, udał się na strych. Po chwili wrócił z zakrwawionymi rękami. Kot najpewniej zrozumiał, co mu zagraża ze strony Stalskiego i, nie bacząc na to, że był

usidlony, bronił się zawzięcie. Ale Skalski miał go już w worku, potrząsał nim, uderzał o ramę drzwi, kopał nogami a potem, starannie zawiązawszy worek, zamknął go do swojej skrzyni i poszedł spać.

To, co było później i trwało cztery, pięć dni, Rafałowycz wspomina jak jakiś straszny, obrzydliwy sen. Stalski znęcał się nad kotem najróżniejszymi sposobami: na oślep walił workiem z kotem w środku, wieszał go za szyję, przyszpilając jednocześnie jego ogon zaostrozonym na końcu kołkiem, wyrywał pazury, wypalał oczy, kłuł szydłem, wpychał do nosa rozkruszone szkło z pieprzem. Miauczenie, żałosny skowyt i pisk nieszczęsnego kota słyszeć było z daleka, chociaż Skalski katował kota w szopce ogrodniczej, która stała pośrodku dużego sadu, z dala od ludzkich domostw. Rafałowycz jeszcze raz przejął dreszcz na samo wspomnienie tych wszystkich nocy, kiedy nie mógł zasnąć, słysząc ten straszny jęk i miauczenie. Wzdrygnął się na przypomnienie, jak jednego wieczora, płacząc, całował ręce Skalskiego i błagał go, aby darował kotu życie. Jednakże jego prośba była daremna. Po pięciu dniach kot mimo wszystko zdechł, wydaje się, że zmógł go silny mróz. Ale małemu Geniowi jeszcze długi czas, co noc, zdawało się, że słyszy żałośliwe miauczenie i koci pisk brzmiący jak płacz małego dziecka. Rzucał się podówczaś przez sen, krzyczał i płakał a rano wstawał zmęczony, z bólem głowy i z opuchniętymi oczyma.

Wszystko to przypomniało się doktorowi Rafałowyczowi teraz, kiedy spacerował po werandzie. Miniony lęk przed

tym mężczyzną zamienił się w bezmierne obrzydzenie i awersję.

„Dlaczego to on ma dla mnie tak wielką uwagę? – rozmyślał Rafałowicz.

– Dlaczego tak się cieszy i mi nadskakuje, zupełnie jakbyśmy byli nie wiadomo jakimi przyjaciółmi?”

Na wszystkie te pytania nie znajdował odpowiedzi. Nie był przesądny i nie wierzył w przeznaczenie, ale w jego głowie pojawiła się jeszcze jedna myśl: „Co to ma znaczyć, że na wstępie do nowego życia przebiega mi drogę ten oto wilk w owczej skórze?”

III

Przepraszam pana mecenasa, że tyle mi się zeszło – krzyknął Stalski, wybiegając na werandę. – Ale proszę bardzo, zapraszam do środka! Pan mecenas pewno już mocno zgłodniał. Wszak to wnet już druga godzina będzie! Ja bym tak nie mógł wytrzymać od rana na czczo!

– O nie, ja chodziłem coś przekąsić podczas przerw – spokojnie odparł Rafałowycz, idąc obok Stalskiego brudnymi i ciasnymi schodami na pierwsze piętro. Było tam kasyno, obecnie całkowicie puste, składało się z trzech pokojów i sali tanecznej. W pomieszczeniu do gry w bilard stał już zastawiony stół na dwie osoby a przy nim kelner z kartą potraw i serwetą pod pachą.

– Proszę, czym mogę służyć panu mecenasowi? – odezwał się kelner, ukłoniwszy się Rafałowyczowi.

Ten zamówił obiad dla dwóch osób. Przed posiłkiem wychylili po kieliszku starki^[11] „za odnowienie starej znajomości”, jak to rzekł Stalski. Rafałowycz naprawdę był głodny, jednak świeżo ożyłe wspomnienia nieszczególnie zachęcały go do rozmowy z panem oficjelem. A Stalski – przeciwnie. I jedząc, i pijąc, nie przestawał mówić, widać było, że jest nader rad, że znalazł się ktoś gotowy go słuchać.

– Ho, ho! Ja od zawsze wiedziałem, że pan Jewhenij Rafałowycz wyjdzie na ludzi. Jeszcze, kiedy był małym Gieniusiem, to było już jasne, że głowę ma na karku. Ja to niby srogi byłem, szacunku wymagałem, ale w głębi serca kochałem małego Gienia jak swoje dziecko! Proszę się nie gniewać ... mnie się już wtedy wás sypnął. Co prawda, to prawda. A i później nie przestałem się interesować ... Bardzom się uradowałem, kiedym przeczytał w Gazecie Lwowskiej, że mój podopieczny, pan Jewhenij Rafałowycz, zdobył na uniwersytecie we Lwowie stopień naukowy doktora praw. Niech mi pan wierzy! ... No, pan mi niby ani brat, ani swat ... ale takie już mam wielkie serce, że cieszę się cudzym szczęściem i smucę cudzym smutkiem, jak swoim własnym.

Jewhenijowi, nie wiedząc czemu, w tej chwili zdało się, że słyszy rozpaczliwe miauczenie katowanego kota. Odłożył łyżkę i z wyrazem czy to zdziwienia, czy też przestachu, wbił wzrok w Stalskiego.

– Mam coś na sobie? – zapytał ten, przerywając trajkot i przypatrując się sobie.

– Nie, nic – odparł Jewhenij. – Proszę, niech pan je.

– Ach, tak się cieszę, że pana mecenasa widzę i że będę miał tę sposobność widzieć pana Jewhenija częściej – czy pan mecenas nie sprzeciwia się, abym nazywał go „panem Jewhenijem”?

– Proszę, tak.

– No, tak o wiele lepiej. Jakoś tak od razu łatwiej się rozmawia. Nie lubię tej koniecznej grzeczności.

Przepraszam, a prawda to, że pan mecenas dependował^[12] w Tarnopolu?

– Tak, byłem tam trzy lata u adwokata Dobrzyckiego.

– A, znam go, znam! Ja dokładnie śledziłem każdy pana krok w sferze, że tak powiem, publicznej. Zwłaszcza, gdy został pan obrońcą w sprawach karnych. Wie pan, panie Jewheniju, powiem panu i niech to nie będzie czczy komplement ... ja słyszałem tylko jedną, tę z dzisiaj, pana mowę obrończą, ale czytałem sprawozdania z kilku procesów, w których bronił ... Takiego obrońcy nasza adwokatura dawno nie miała.

– Proszę, panie Stalski, niech pan się posila! Proszę zobaczyć, ja jem za dwóch, nie dam rady się nasycić pana łaskawymi komplementami.

– O, co to, to nie! Broń Boże! To nie są żadne komplementy – energicznie oponował Stalski, żywo gestykulując rękoma, uzbrojonymi – jedna w nóż, druga w widelec. – To nawet nie jest moje zdanie. Taka jest o panu ogólna opinia w tutejszym sądzie. Sam sędzia przewodniczący^[13] – zauważył pan, jak uważnie się przysłuchiwał pana mowie końcowej, jak odwoływał się do pana argumentów w ustnym uzasadnieniu wyroku? – otóż, sam przewodniczący po rozprawie, kiedy wychodził z sądu, powiedział do prokuratora: „Z takim obrońcą – to przyjemnie prowadzić rozprawę”. A prokurator mu na to: „O, tak, to jedna z najtęższych głów w galicyjskiej adwokaturze. Szkoda, że nie poszedł na sędziego, mógłby

zrobić karierę”. O, tak, za panem mecenasem przychodzi do nas najlepsza sława.

Aby skierować rozmowę na inny tor, Rafałowycz poprosił Stalskiego, by ten opowiedział mu nieco o panujących w tutejszym sądzie stosunkach, gdyż wiadomości takie, co niewykluczone, mogłyby się okazać przydatne w jego przyszłej działalności. Stalskiego nie trzeba było dwa razy namawiać! Z ust jego, które jeszcze przed chwilą pełne były serdeczności i komplementów, wylał się potok wyrazów złorzeczących, klątw ordynarnych, przekleństw, plotek i złości. Przewodniczący był kiedyś zdolnym sędzią, ale teraz całkiem ogłupiał, w domu rządzi nim kucharka, prosta i wredna baba a w sądzie – jego sekretarz, perfidny Żyd i straszny łapownik. W sądzie panuje utarta zasada, że z Żydem nie da się wygrać sprawy. Nie wszyscy chcą wierzyć, że przewodniczący w połowie korzysta z sum, jakie otrzymuje jego sekretarz, ale on, Stalski, jest tego pewien, bo, choć przewodniczący jest bezdzietnym wdowcem, ale ma całą kupę bratanków, wałkoniów i utracjuszy, którzy ssą go jak pijawki. A radca^[14] S. od urodzenia był skończonym matołem. To ten sam, co będąc jeszcze adiunktem^[15] w Peczeniżynie, skazał jakiegoś chłopca na śmierć i od razu posłał po kata do Ołomuńca. Dobrze, że kat zatelegrafował do nadprokuratora do Lwowa upewnić się, czy rzeczywiście ma jechać do Peczeniżyna na egzekucję i dzięki temu wyższa instancja się dowiedziała o tym niezwykłym wyroku i go stamtąd zabrali. Dla pozoru zrobili go niespełna rozumu, jakiś czas potrzyimali na Kulparkowie^[16] a potem

znowu przywrócili na posadę. Mówią, że ma silne plecy, wie pan, protekcja. Innego od razu by wyrzucili, a temu pozwolą dosłużyć do pełnej emerytury, choć żadnych spraw samodzielnie on już nie prowadzi a jedynie siedzi w sądzie i zarabia na emeryturę, jak mówią, nie głową – a hm, hm, hm ... Za to radca M. – karciarz. Do sądu przyjdzie na godzinę, sprawy za niego załatwia praktykant, on tylko poprzegląda, popodpisuje, co trzeba i dalej do kawiarni. Tam już czeka na niego karciane towarzystwo, o każdej porze dnia inne. Żonę ma jędzę – uchowaj Boże od takiej. Prosta, ordynarna wieśniaczka z Kongresówki^[17], rosła jak grenadier^[18], gruba jak beka, hałaśliwa jak dziesięć przekupek. Ona już wie, gdzie go szukać. Kiedy ona się do lokalu wtarabania, to on niby udaje, że to nie jego ona szuka, ale jak tylko ją widzi, to od razu daje drapaka, bo jak wielmożnego pana baba dopadnie, to nie zważa, że to pan radca i że ludzie się od razu zbiegają na jej wrzaski a chwyta pana radcę za łeb jak psiaka jakiego i wlecze do domu, a ile jeszcze mu po drodze nautyskuje i tak głośno, że na całe miasto słychać. O, to straszna baba! Mogę powiedzieć, że w naszym sądzie to jej się wszyscy najbardziej boją. Nawet pan przewodniczący się przed nią trzęsie. Wie pan, raz była taka historia ...

Skończyli jeść obiad i zapalili cygara. Jewhenij polecił przynieść czarną kawę. Stalski wciąż jeszcze referował mu miejskie plotki i awantury sądowe: o trzecim radcy, o adiunktach, następnie począł rozprawiać o władzy, obmówił pana starostę, jego żonę, panów komisarzy i już

się zbierał, aby zacząć obsmarowywać inspektora skarbowego, gdy Jewhenij, wypiwszy kawę, z nagłą zerknął na zegarek.

– No, panie Stalski – rzekł, podnosząc się zza stołu – bardzo mi miło w pana towarzystwie, ale czas już na mnie, muszę wracać do hotelu.

– Aj, rzeczywiście! – powiedział Stalski, również spojrzawszy na zegarek. – Tak się rozgadałem a to już trzecia godzina się robiła. Mam w kancelarii też nieco zaległych spraw. Nie będę już zachodził do domu a pójdę prosto do sądu.

Jewhenij wezwał kelnera, zapłacił rachunek i wyszedł. Pragnął pozbyć się Stalskiego, którego gadanina psuła mu poobiedni nastrój, ale nie było tak łatwo uwolnić się od niego.

– Panie mecenas! – mówił on wzruszonym tonem. – Proszę mi pozwolić odwdzińczyć się za pana dobroć i niedawną gościnę!

– Ależ, proszę pana, nie ma się za co odwzajemniać. Mnie samemu było bardzo ... sam pan rozumie, zawsze lepiej we dwóch niż w samotności jeść posiłek.

Stali już na ulicy, dokąd ich odprowadzili kłaniający się nisko kelnerzy.

– Dokąd pan teraz się udaje? – zapytał Jewhenij.

– Odprowadzę pana do hotelu. Mam jeszcze kilka minut wolnego czasu, zanim muszę być w kancelarii.

– Ależ ja nie chciałbym panu zabierać więcej czasu.

– Ale to nic wielkiego! Cóż ja mam z tym czasem robić? Do domu nie mam ochoty iść a kancelaria nie ucieknie.

– Znaczy to, że i pan jest kawalerem, jeśli pana do domu nie ciągnie? – z uśmiechem spytał Jewhenij.

– O, nie zgadł pan! – odparł Stalski. – Jestem już dziesięć lat żonaty.

Ale moja żona – he, he, he – na tyle utemperowana, że nic mi nie powie.

– Nic nie powie na to, że pan nie przyszedł na obiad?

– Tak, proszę pana, nic mi nie powie.

– To może nie ma jej w mieście, wyjechała gdzieś na wieś?

– Nie, proszę pana, siedzi w domu.

– No, to czy ona jest niemową, proszę wybaczyć, że tak pytam.

– Nie, nie jest niema.

– No, to w takim razie to jest jakaś idealna kobieta. Pierwszy raz słyszę o żonie, która miałaby nic nie powiedzieć mężowi, gdy ten nie przyszedł do domu na obiad.

– Widzi pan, panie mecenas, to wszystko zależy od, jak by to powiedzieć, od utemperowania, ... od wytresowania. Jak mężczyzna nie umie postępować z kobietami, to lepiej zrobi, jak się nie ożeni. A jak umie, to wszystko mu się uda w małżeństwie.

I znowu Jewhenijowi, nie wiedząc dlaczego i skąd, zdało się, że słyszy rozdzierające miauczenie katowanego kota.

Wzdrygnął się, pożegnał się ze Stalskim i poszedł do swego hotelu.

Koniec Wersji Demonstracyjnej